

Americana.

I.

Na dalekim Far-Wescie amerykańskim przychodzi klient do dentysty. Zawiazuje się rozmowa.

— Ząb?

— Ząb.

— Dobrze, zaraz to zrobimy.

— Czy tylko nie będę czuł bólu?

— O żadnego! (do pomocnika): Wy-rznij tego gentlemana w łeb, żeby stracił przytomność.

II.

Bob (do narzeczonego swej siostry). O, mister Bubbler, wczoraj mama tak strasznie płakała przy czytaniu pańskich poezji!

Mr. Bubbler (wielce uradowany). Na prawdę płakała?

Bob. Naprawdę! Mama nawet tak jeszcze mówiła do taty: Nie uwierzysz, jak mi się serce kraje, gdy sobie pomyślę o tem, że nasza córka wychodzi za człowieka, który wypisuje takie głupstwa...



Gość nieoczekiwany.

(Humoreska warszawska).

Bolek, młodzieniaszek złoty, siedział w myślach pogrążony, palce utkwiał w włosów sploty, marzy, z kąd zdobyć mamony. Do usługi przyjaciel-skiej klika druhów dziś nie skora, na sielance, lecz... »nie sielskiej« zgrana w totalizatora. Zaś lichwiarska zacna dziatwa jęczy: kredyt wyczerpany, więc gotówka rzecz niełatwa, wszystką wzięły końskie tany. Właśnie czeka na lichwiarza, co z prowincji przybył świeżo i (myśl błoga go rozmarza) kręci się między młodzieżą. Już wygo-dził kuzynkowi (niech mu niebo dary ześle), ten polecił go Bolkowi — czeka wierząc się na krześle.

Mieć do jutra pieniądź trzeba, lichwiarz Icek bez litości, z wolnej ręki, wielkie nieba, wszystkie sprzeda ruchomości.

Wtém ktoś do drzwi puka zlekka, w piersiach Bolka zapał rośnie, z ci-chym okrzykiem »eureka«, podbiega do drzwi radośnie.

— Czy przeszkadzam?

— Proszę, proszę!

— Możem gość niepożądany?

— Ależ proszę moją wnoszę, spo-cząc chciej panie kochany...

— Jestem...

— Ależ to rzecz oczywista, wnet poznałem panie ciebie, jesteś ów ka-pitalista, co wygodzi mi w potrzebie. Załatwiemy sprawę, myślę, chcesz znać moje położenie? Więc przedstawię ci je ściśle, joty prawdy w niem nie zmienię. Stryj mój gnębi mnie nie mile, pen-sję mi przysyła małą, lecz myśl go-rzkie słodzi chwile, wezmę po nim schedę całą. Stryj mój zidjociał, stary... dziesięć lat go nie widziałem, ale gro-sza ma bez miary... śmierć jego mym ideałem. Śmierć ta życie w eden zmie-nia, więc jej pragnę z duszy serca, rzecz

ta panie do sprawdzenia, żem jedyny spadkobierca.

Gość spogląda na młodziana, wzrok dobrego nic nie wróży, z gniewu pod nim drżą kolana.

— Już nie myślę słuchać dłużej. Właściem zjechał: by majątek oddać cały ci mój panie, a tu piękny mam początek, nader czułe przywitanie. Nie poznałeś mnie, o szpaku! coś tak czu-łe pisał ody. Ale! ja cię poznał pta-ku, mój ty ptaku głupi, młody! Zamknę serca ci podwoje i rozgłoszę w całym mieście: dam na misję mienie moje...

— A ja stryju?!...

— A kat bierz cię.

Z czoła pot otarłszy chustą, drzwiami trzasnął mąż bogaty. Mło-dzian został z głową pustą, szepcząc.

— Dać mi baty, baty!...

A gdy wzeszła dnia jutrzienka, przyszedł Icek z wyrokami i (o smutna ma piosenka) młodzian został sam... ze łzami.

Pogrążony w medytacji, siedział długo, bardzo długo, bez śniadania, bez kolacji, a głód nie pokornym sługą!...

Więc choć rozpacz w piersiach wzbiera i żre duszę smutek wielki, zgo-dził się za podkelnera, otwiera dzisiaj butelki.

Powojczyk.

Podśluchane.

— Czy to prawda, że twój pomoćnik uciekł z kasą.

— Istotnie, ktoby się jednak tego! spodziewał. Był taki spokojny, uprzedzając go grzeczny, zawsze starał się mnie wyręczyć w pracy.

Może i tym razem chciał cię wyręczyć?...



Złośliwe.

Młody poeta, przynosząc po raz dzie-siąty do redakcji swoje poezje (niestety, mające znów nadzieję dostania się do kosza), mówi z emfazą.

— Tak, panie redaktorze... poetą trzeba się urodzić! Wtedy jest coś... coś, co nas popycha do tworzenia, prawie wbrew na-szej woli...

— O, ja wiem — przerywa redaktor — żeś pan temu nie winien.



Oświadczenie miłosne kaligrafa.

Pani! Czy chcesz zostać kropką dla człowieka, który przyrzeka ci być aż do grobu twoim przecinkiem?



W buduarze

— Alfonsie, kup mi powieść Sienkiewi-cza...

— Jaką?

— No, tę »Ogniem i mieczem«.

— To zbyt cenne, ty masz sama tyle ognia, że jeszcze innym go udzielasz...



Iskierki.

Pewny znak.

— Wiesz co, żono, pan Henryk wido-cznie ma zamiar starać się o naszą Zosię.

— Zkąd to poznajesz?

— Widzisz, Zosia wczoraj grała przy nim i śpiewała, a on mimo to przyszedł dzisiaj...

Złudzenie.

Zgryźliwy Iks (dodajemy: dobrze pod-łysiały) wchodzi do fryzjera. Sądzą go uroczyście i rozpoczyna się operacja — postrzyżyn.

Iks kręci się niecierpliwie, wreszcie woła:

— Panie, pan mnie wcale nie strzyżesz!

— Ale, owszem, proszę pana.

— Kiedy nie słyszę nawet zgrzytu nożyczek.

— O! — odpowiada nieco skrepowany Figaro — pan dobrodzieju nie jest tak... zupełnie... Absalonem.

— Mój panie — wybucha Iks — czy ja mam dużo, czy mało włosów — to moja rzecz, ale za swoje pieniądze, chcę przynajmniej słyszeć zgrzytanie nożyczek.

Nasze nowelistki (monolog).

— No, no!.. rzecz zadziwiająca. Siad-łam do pisania listu do przyjaciółki z proś-bą o przysłanie mi przepisu na szarlotkę i wyobraźcie sobie państwo, zrobiła się z tego pyszna nowela! Trzeba to jutro zanieść do której redakcyi.

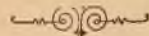
Myśl.

Kto nie mając na to, pragnie jednak codziennie suto obiadować, musi nieraz zjeść — upokorzenie.

Est modus...

— Co się stało dziś naszemu Jasiowi, że tak pilnie już od godziny pisze?

— Widzisz, duszko, nie mogłam go napędzić do pisania, więc kazałam mu w końcu wypisać w formie ćwiczenia wszyst-ko, co chciałby dostać na »Gwiazdkę«!..



W szkole.

Profesor. Słuchać osły! Jeżeli jeden koń zjada dwadzieścia garncy owsa na dzień, to wiele zje 200 koni.

Uczeń. Proszę pana profesora, kiedy koń nigdy nie zje od razu dwadzieścia garncy owsa...

Profesor. Głupsi! To hipoteza...

Uczeń. Hipoteza to może zje, ale koń nigdy.



Nierowerzysta do rowerzysty.

— Mój kochany, daj mi sposób, abym w możliwie krótkim terminie nauczył się jeździć na rowerze.

(Rowerzysta do nierowerzysty). Nie łatwiejszego — kiedy będziesz przechodził ulicą i spostrzeżesz przed jaką kawiarnią rower, skocz na niego i jedź... Strach podwaja energję, więc strwożony uciekniesz na rowerze przed pościgiem. To jest naj-krótsza metoda »à la minute«.

